

POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE

A co u nas ?

ODDZIAŁ KARPACKI W ŁODZI



BIULETYN INFORMACYJNY ODDZIAŁU KARPACKIEGO PTT W ŁODZI
ROK 2006 NR 1 (29)

Informujemy, że w dniu 9 stycznia 2006 r., po długich staraniach Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zostało wpisane do rejestru **Organizacji Pożytku Publicznego**.

Wiąże się to z możliwością przekazania przez podatników jednego procenta swoich podatków na rzecz PTT.

Dla ułatwienia rozliczeń, utworzony został pomocniczy rachunek w Banku Gospodarstwa Krajowego Oddział Kraków, na który należy kierować wpłaty:

17 1130 1150 0012 1061 4720 0001

Wpłata na rzecz PTT musi być dokonana przed rozliczeniem PIT, a w rubryce „tytułem” należy wpisać „1% podatku dla OPP”.

W dniu 5 lutego 2006 r. Prezydium ZG PTT podjęło decyzję, że jeśli członek PTT, przekazując 1% swojego podatku na rzecz PTT, zaznaczy na blankiecie, który oddział chce wesprzeć swoją wpłatą, wówczas 2/3 tej wpłaty przekazane będzie do dyspozycji wskazanego oddziału. W przeciwnym wypadku cała kwota pozostanie na koncie Towarzystwa.

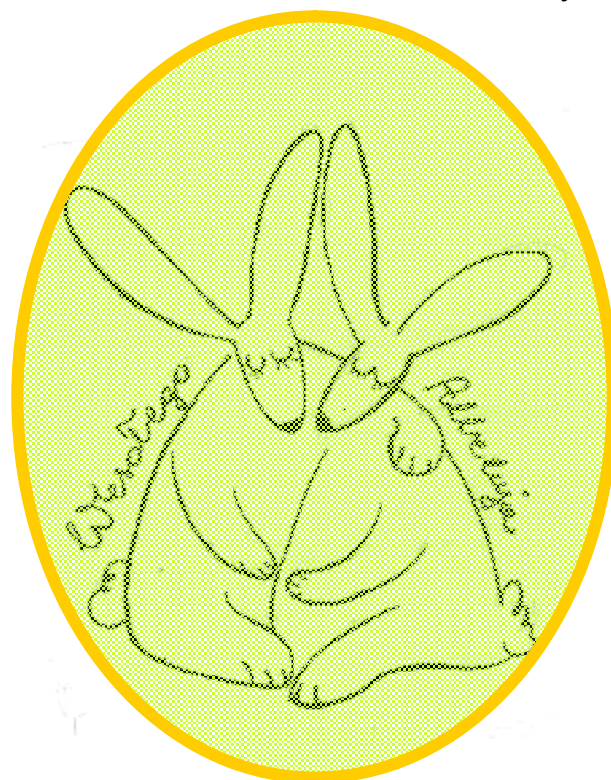
W postanowieniu Sądu zanotowano, że odpłatna działalność statutowa PTT to tylko działalność wydawnicza, natomiast działalność nieodpłatna to:

- rozwijanie badań dotyczących treści, form, metod i organizacji turystyki górskiej,
- organizacja spotkań towarzyskich, prelekcji i pokazów filmów i przeżrocz celom upowszechniania wiedzy o górach i popularyzacji kultury górskiej, wspieranie działań na rzecz ochrony środowiska naturalnego gór, górskiego krajobrazu przyrodniczego i kulturowego w jego nawarstwieniach historycznych,

- związana z górami praca wychowawcza i popularyzatorska wśród dzieci i młodzieży, w tym przez prowadzenie działalności w szkołach,
- przeciwdziałanie szkodliwym wpływom zmasowanego ruchu wycieczkowego na stan zasobów przyrody górskiej,
- propagowanie akcji zdobywania odznaki turystycznej PTT i szkolenie przewodników GOT PTT.

Jako formy odpłatnej działalności pożytku publicznego nie uznano również organizowania imprez turystycznych promujących tradycyjną turystykę górską.

Redakcja



życzy Redakcja

DAWNE BIESZCZADZKIE CERKIEWKI



Rosolin. Cerkiew filialna z 1750r. (zdjęcie z pocz. XXw.).

Rosolin

Cerkiew filialna p.w. św. Onufrego. Pierwotna wzmiankowana w 1580 roku. Ostatnia, drewniana, zbudowana w 1750 r. z fundacji ówczesnego właściciela wsi Onufrego Giebułtowskiego. Według miejscowej tradycji budynek cerkwi został zakupiony w okolicach Bandrowa, dlatego może być znacznie starszy. Rzeczywiście kolejną cerkiew w Bandrowie wzniesiono w 1749 roku jest więc wielce prawdopodobne, że poprzednią sprzedano do Rosolina. Był to proceder dość powszechny – jeśli stara cerkiew była już za mała dla stale przybywających wiernych, a była jeszcze w dobrym stanie, sprzedawano ją do mniejszej wsi, gdzie jeszcze przez wiele lat spełniała swe zadanie. Cerkiew postawiona w 1750 r. w Rosolinie mogła powstać w 2 poł. XVII w. Jest to trójdzielnia budowla na planie podłużnym co jest rozwiązaniem typowym. Nietypowym natomiast jest ukształtowanie kryjącego ją dachu. Wszystkie jego płaszczyzny są połączone w jedną całość. Dach babińca, przechodzący w dach nawy i mający z nim wspólną kalenicę, łączy się przez daszek okapowy nawy z dachem prezbiterium. Stromizna większości połaci dachowych tej świątyni nawiązuje do gotyckich tradycji sakralnego budownictwa małopolskiego. O archaiczności świątyni świadczy również brak okien w północnej ścianie budowli. Cechy te przemawiają za tym, że świątynia została tu przeniesiona i pochodzi co najmniej z XVII wieku.

W Rosolinie cerkiew budował cieśla Antoni, który będąc jednocześnie malarzem ozdobił wewnętrzne ściany polichromią. Uczynił to według wzorów zachodnich. Również wyposażenie było kościelne. Cerkiew nie miała ikonostasu tylko trzy ołtarze. Tak zapewne życzył sobie fundator Onufry Giebułtowski.

Po 1951 roku świątynia została opuszczona. W 1957 r. przeniesiono ją do Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. We wnętrzu zachowano dawne wyposażenie z okresu budowy cerkwi - trzy ołtarze i polichromię.

Obok cerkwi posadowiona była dzwonnica – drewniana, parawanowa, w postaci trzech słupów nakrytych dwuspadowym daszkiem. Mieściła dwa dzwony, które obecnie znajdują się w Baryczy k. Brzozowa. W 1957 r. dzwonnice przeniesiono do skansenu w Sanoku.

Cmentarz cerkiewny połączony był z cmentarzem grzebalnym. Nagrobki nie zachowały się. Pozostały jedynie ziemne mogiły, krzyż nagrobny z rury żelaznej i żeliwny krzyż odłamany z nagrobka.

Turystyczną atrakcją okolic dawnego Rosolina jest jaskinia nad potokiem Czarnym i położony nieco powyżej spory wodospad.

*Rozgarniam choiny – wieś
Krzyżyki na półksiężycu przełęczy
Cerkiew*

*Świat jak na dłoni która tłumaczy się ludziom
Z biegnących z zachodu na wschód
Serdecznych linii gór*

*Nikommu się nie kłaniać
Władza to nie ikona
Która ustala duszy krajobrazy*

*Poeta to nie kłęczący serafin
Modlący się do głowy władzy*

*Cerkiew napisana w gazecie
Znika na drugi dzień pod śniegiem*

*Mój rewir pod frędzlami leszczyn
Nieba błękitny baldachim
Jest tylko dla śpiących ptaków*

*Prosto jak choin dym
Wzbija się w niebo śnieg
Iskry święte powietrze*

*Góry wskazują kierunek
Podają rytm i rytm*

*Wszystko się tłumaczy
Tylko nie pokłony
- wiem*

J. Harasymowicz

Janusz Pilc

(na podst. opracowania „Cerkwie w Bieszczadach” St. Krycińskiego)



Wspomnienia *bieszczadzkiej kucharki. . .*

Szanowni Panowie, Koledzy, Przyjaciele!
Bardzo proszę, niech ten tytuł nie kojarzy się Wam ze sławetnym powiedzeniem „baby do garów”, bo wtedy, na następnym wyjeździe, sami będziecie sobie gotować. Mało tego, pojedziemy znów z Wami i będziemy strasznie wybredne!

Piątek, 10 lutego br., godzina 7.00 – wyruszamy, jako 3-osobowy zwiad, do Serebnego. Zaczyna się moja pierwsza przygoda z Bieszczadami. Teraz już wiem, że na pewno nie ostatnia. W tym miejscu naprawdę można się zakochać.

Dla kogoś, kto szuka ciszy i spokoju, a nade wszystko bliskiego kontaktu z przyrodą, jest to miejsce wprost wymarzone. Nie zraża nawet męcząca podróż i konieczność podejścia pod górę do miejsca przeznaczenia z całym bagażem. Najbardziej trudy podróży odczuł nasz „etatowy” kierowca – Janusz i jak zwykle spał się na „sześć”.

Widoki, jakie stąd się rozciągają, wynagradzają wszystko. Pogoda nam dopisała, więc w dwójnásób można było nacieszyć oczy. Jak zima – no to wiadomo – i śnieg powinien być. Oj, było go, było – pod dostatkiem.

Ten biały puch posłużył nam nie tylko do przemieszczania się na nartach, ale również zaspakajał czasami nasze zapotrzebowanie na wodę. Okazało się bowiem, że mróz nie oszczędził i „Kuźni” – pękła rura doprowadzająca wodę do bacówki. Wcale nas to nie zraziło, wręcz przeciwnie. Potraktowaliśmy to jako kolejne wyzwanie, któremu musimy podołać. Udało nam się dokonać tego bez problemu.

Nasi gospodarze – Karolina i Witek, użyczali

nam wodę ze swojego domu. Zapewne było to dla nich kłopotliwe, ale ni razu nie zostaliśmy „odcięci” od źródła. Pięknie Im za to dziękujemy!

Kto miał ochotę na dokonywanie toalety – niejednokrotnie robił to w śniegu. Niesamowite uczucie, warte powtórzenia. Ale tylko w Serebnym!

Już pierwszego dnia, po przyjeździe, ustaliliśmy, że prowadzimy wspólną kuchnię. Rozpoczęło się wyciąganie z plecaków wszystkich wiktuałów, które każdy z nas „wtargał” na górę. Z podsumowania wyszło, że mamy niezły zapasik jedzenia i to wcale nie taki monotony.

Padło hasło, że każdy „wczasowicz” jeden dzień ma dyżur w kuchni. Jak zwykle, życie wszystko weryfikuje. Tak i tu teoria zupełnie rozminęła się z praktyką, co nie znaczy, że były jakieś niesnaski z tego tytułu. Wspieraliśmy się wzajemnie – albo faktyczną pomocą, albo li tylko duchowo.

Najważniejsze, że nikt nie chodził głodny, nikt nie przemyślał jedzenia do śpiwora i nie dożywał się potajemnie. No i nikt nie grymasił przy jedzeniu, że „nie dobre, nie lubi, mało słone itd.” Pod tym względem byliśmy wyjątkowo zdyscyplinowani.

Aby udokumentować, że nie głodowaliśmy, wręcz przeciwnie – odżywialiśmy się przednio, robiliśmy nawet fotki naszym posiłkom. Gwarantuję, że każdy oglądający głośno przełknął ślinę. No, może poza jednym zdjęciem, autorstwa Janusza.

Króciutko tylko opowiem: Moja „brygada” poszła na wycieczkę, ja dobrowolnie, bez przymusu, zostałam w domu. Obiecałam, że posprzątam i podam im dobry obiad, w chwili, gdy tylko wejdą w próg „Kuźni”.



Śniadanie przygotowane, podane... a konsumpcja coś bez entuzjazmu



fot.
Autorki

Podczas zmiany wody, natrafiłam w komorze zlewozmywaka na „malutką” futrzaną, utopioną „niespodziankę”. Zgubiło ją łakomstwo – chciała ukraść kawałek kotleta mielonego.

Mój wrzask słyhać było chyba w Polanie. Następnie, wzdrygając się, ułożyłam to „coś” na starym talerzu i wystawiłam przed drzwi. Taki obraz został właśnie utrwalony przez Janusza.

Teraz jestem bogatsza o kolejne doświadczenie i już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Człowiek (i kobieta też) hartuje się całe życie.



Tragiczny koniec łakomej myszki

fot. Janusz Pilc

Na tej mojej przygodzie zyskała tylko kotka Miauka (jej imię zdradziła nam Ninka). Już nikomu nie przychodziło do głowy wyganiać ją z „Kuźni” na noc. A ona, w podziękowaniu, obdarzała nas swoim przesympatycznym mručeniem. Z żalem rozstawaliśmy się z Gospodarzami, „Kuźnią”, całym zwierzyńcem. Serednie pożegnało nas przepiękną, słoneczną pogodą.

W imieniu uczestników (uczestniczek również), chyba mogę śmiało powiedzieć – ZA ROK ZNÓW POJEDZIEMY!

Iwona G.



... i krótka relacja Bieszczadnika

Kolejny zimowy wyjazd w Bieszczady mamy już za sobą. Serednie Małe powitało nas piękną zimową aurą, sporą ilością śniegu, którego codziennie przybywało i niestety pękniętą rurą doprowadzającą wodę do kuźni. Dzięki uprzejmości gospodarzy nosiliśmy wodę z domu, a nie z potoku, ale i tak wystarczało jej tylko do konsumpcji i do mycia Iwony – ona najbardziej się brudziła.

Nie dziwota, bo najwięcej przebywała w kuchni przygotowując posiłki, myjąc gary i łapiąc myszy.



Żubry „na wyciągnięcie ręki”

fot. Janusz Pilc

Można powiedzieć, że wyjazd tegoroczny był pod znakiem żubra. Prawie codziennie ktoś z nas wyruszał na polanę w okolicach nieistniejącej wsi Olchowiec, aby podziwiać te piękne zwierzęta. Jedynie pierwsza wycieczka w te okolice zakończyła się niepowodzeniem. Żubrów nie było, a gęsto padający śnieg zasypał wszelkie ślady. Pomyślałem przez chwilę, że odeszły w inne okolice, ale na szczęście nazajutrz już były. Na wszystkie wycieczki szła z nami Wika, w tym roku nie miała szczeniaków. Wszelkie próby zawrócenia jej, urwania się i po prostu zmylenia nie udawały się – była od nas sprytniejsza. Ale nie sprawiała żadnego kłopotu, a w stosunku do żubrów czuła duży respekt – zachowywała dystans.

Nie obyło się bez wycieczki na Rosolin (Asia, Piotrek i Krzysztof) – dotarcie do jaskini od góry w zimowych warunkach podnosi wyraźnie poziom adrenaliny, a po powrocie i posiłku kieruje prosto do śpiwora.

Z żalem komunikuję, że nie dotarliśmy do „Chatki socjologa” na Otrycie na nartach, ale obiecuję, że za rok na pewno tego dokonamy.

I na pewno pogawędzimy z Księdzem proboszczem z Polany. Po prostu zejdziemy wcześniej na dół.

Wszystkich tych, którzy mieli ochotę na ten wyjazd, ale czuli jakieś obawy, nieodmiennie zachęcam – piszcie ostatnie słowo i jedźcie z nami.

Wasz Bieszczadnik

Kontynuujemy rozpoczęte w numerze 4/2005 biuletynu wspomnienia Jana Alfreda Szczepańskiego z wyprawy w Karpaty Wschodnie w roku 1924 – krótko po ustaniu w tej części Karpat ostatnich walk okresu I wojny światowej. Prezentowane fragmenty pochodzą ze zbioru wspomnień zatytułowanego „Siedem kręgów wtajemniczenia”.

Wybrał Tadeusz Kielbasiński

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

WIERCHOWINA

Toteż dopiero po ośmiu godzinach dobrnęliśmy (może by raczej należało napisać: dopłynęliśmy) do spływu Darowa w Łomnicę, gdzie po raz ostatni musieliśmy przekroczyć szeroko rozlaną, ale spokojniejszą rzekę. Tu, na pięknej i niskiej (850 m) rozgrzanej polanie zapadamy w trawy, przede wszystkim odespać noc. Polana jest opuszczona, bezludna. Nic nie mąci wiernej samotności, Później dotarła potąd leśna kolejka z Osmołody przez Jale, i na uroczysku rozsiadły się gajownie, magazyny, przystanek kolejowy, wygodki. Ale to było po latach, nam nic jeszcze nie zmąciło samotności. Nadzy i pierwotni kąpiemy się w szczypiącym potoku, hasamy rajsko po łące i opalamy biodra, póki coraz bardziej skośna ściana światła nie zmusza nas do poderwania się i gwałtownego marszu najpierw w dół doliną Łomnicy, a później w górę doliny Bystryka ku stopom Sywuli. Droga pachnie wiosną, mienią się krzewy jarzębin, połyska leszczyna niedoroślą zielenią. Gdy zgłasza się zmierzch, zatrzymujemy się na biwak nisko w dole, w zasięgu jeżyn, malin, czernic i wilczych jagód. Noc jest ciepła, pogodna i łatwa. Gładko nam mija sen, przyprószony radością życia, i nie płoszą go błędne majki, dusze dzieci pomartych przed chrztem, igrające niedaleko stąd na Ihrowyszczu pod Rogiem.

Nazajutrz prosto dnem doliny wchodzimy na grzbiet graniczny w Połoninie Bystrej, na ów charakterystyczny czteroramienny rozróg, skąd cztery wybitne granie w górę, cztery wodostyne doliny w dół się rozbiegają, na owe graniczne krzyżne, które dla nas było wówczas tylko punktem na mapie w rejonie Sywuli, by stać się później ważnym centrem wycieczkowym, a dziś powrócić zapewne do dawnej samotności (1428 m). Tu, znowu, jak przed Grofą, zbywamy się ciężaru worków, by lekko, sportowo, niemal lotnie, odbyć ponad 3 km długą wędrówkę – wjazd grzbietem Sywuli. Lipcowy upał pomiał świeże trawy, wygniata, wypraża ścieki ze śniegu, który jeszcze obficie zalegał wklęsnięcia gruntu. Pniemy się mozolnie w górę, prosto jak strzełił. Gdzieniedzie mijamy pozrywane zasieki, rowy wojenne, osłony z gorganu, ubezpieczenia, zapory. Spływa słońce jak pot z pośpiechu. Aż masyw szczytowy w niższym

wierzchołku i przerzut oczu na okrąg widoku. Niezbyt już stąd daleko do głównego wierzchołka, przez niektórych uporczywie a niewłaściwie nazywanego Łopuszną. Grzbietem szybko – w wysokim chłodzie i wietrze – na ów główny wierzchołek, najwyższy w Gorganach, 1836 m. Mówi nam o tym widok: Popadia stąd niewysoka, a Wysoka i Ihrowyszcz – niższe. A potem mocny kształt Doboszanki i znowu dalekie góry, zanurzone w mgłę i śreżodze słonecznej.

Tylko pół godziny zatrzymujemy się na szczycie i już z powrotem do worków. Sywula była dla nas interesującym fragmentem wyprawy, ale bynajmniej nie najpiękniejszym. Inaczej o niej myślał, inaczej ją widział sławny pionier turystyki karpackiej, Marian Łomnicki, gdy 7 sierpnia 1877 r. wszedł na jej „ostrokończysty stożek”: „*Po zwałach brył objętości nieraz kilkumetrowej, spiętrzonych w najdzikszym nieładzie, wyteżamy wszystkie swe siły, aby stanąć u celu. Pod naszymi stopami z zgrzytem osuwają się głązy i cekotem gruz ostry się sypie. Wyjście na Sywulę należy do najtrudniejszych wycieczek górskich.*”

Pora spóźniona – Sywula to jednak potężny szmat połonin i gorganu – toteż szybko w dół, na południe, w dolinę Płajską.

Jeszcze przed zmierzchem mijamy nieciekawą Klauzę Płajską – którą oficerowie legionowi, nieświadomi co to klauza, nazywali bramą lub zamknięciem – i przed zmrokiem osiągamy rozległe rozbudowany tartak u ujścia doliny Podczarnej do Płajskiej. Tu nocleg w stodole leśniczówki Na Pasiece (845 m) ***). Ani przypuszczamy, jakie to honorowe miejsce, że to ów sławny „Holzschlaghaus”, „hotel legionowy” w okresie przemarszu przez sławetny Pantyr i trwania „rzeczpospolitej rafajłowskiej”. Holzschlaghaus – zrobiły karierę te budy, pisały o nich w książkach generały i kapelany, a czesi poświęcili im osobny przewodnik (Józef Panaś: „My, druga brygada”, Bolesław Roja: „Legioniści w Karpatach”, Jaroslav Dostał: „Sedlo Pantyr – dejście boju 1914-17”). Staruszek – leśniczy smutno, wyblakłe opowiada o krwawych walkach, wtrąca szczegóły o legionistach. Nie chcemy o nich długo słuchać.

Stary leśniczy poszedł późno spać i my nazajutrz wstajemy późno, z ociąganiem żegnając wygodny Holczslaghaus. Zbędne drogi krają wokół lesiste zbocza. Wprost przed nami gubią się w głębi lasów siodła przełęczy Rogodze, z których jedno nazwano usłużnie „Przełęczą Legionów”. Teren jest nieprzejrzysty, wykretny. Nie dziwię się, iż tu właśnie tkwił ów nieistniejący Pantyrpass, który tyle krwi napsuł legionistom. My zresztą z Na Pasiece nie idziemy w górę, tylko główną drogą doliny jeszcze ciągle w dół, aż do ujścia Turbatu, a potem z kolei tą doliną do Klauzy Turbat (975 m). Daje nam ona urok dużego, nizinnego jeziora, w obręczy – raczej w oszalowaniu – lasów. I już znowu nie lasów, lecz ostępów leśnych, sieni matecznika. Ludzi z Doliny Płajskiej i zjaw wojny zapominamy szybko, jesteśmy znowu do głębi sami. Pogoda sprzyja, słońce dopieka – żaden obłok nie wskazuje, że znajdujemy się tuż obok Ustczorny i obojga Mokrych, które to wsie uchodzą, jak wiadomo, za najbardziej obfite w deszcze na obszarze całych Karpat.

Wygodną, z szerokich poprzecznych dyli ułożoną drogą wojenną zaczynamy się wznosić z wolna na Okole, graniczną przełęcz między Gorganami a pasmem Świdowca. Droga wiję się, kluczy, kołuje w pogmatwanych, nie znużonych skrętach, w ostrych zakosach – pewnie po to, by i armaty mogły być zwiedzić Okole. Nieskończenie długo idziemy bagnistym lasem, przez bór przepływa zmierzch, ścicha światło, gaśnie szkliwo moczaru i posuwamy się w gęstniejącej ciemności bezcelową drogą, opuszczoną, zaniedbaną, tonącą w zaczepnej, zwodnej zieleni. Ostatnie promienie dnia dosiegamy na przełęczy, skąd jeszcze szybko podsuwamy się płajem na Przechylinę Okole (1256 m), gdzie nam Orłowicz zapowiadał pięknie wyporządzone, węgierskie schronisko. Owszem, schron jest – ale zniszczony, zrujnowany, bez szyb, bez podłóg. I przezeń przeszła wojna, najpierw państw, potem ludów. Szukamy pobliskiego źródła Cisy, które spowodowało wybudowanie tu schroniska. No i natrafiamy po chwili w lesie na płytki wykap w grząskiej próchnicy, którego emocjonalną treść objaśnia wmontowana nad nim tablica z węgierskim napisem – teraz pokłuta i połupana, nim jej nie zastąpi nowa, czeska, i póki kolejnym obrotem rzeczy nie odnowią jej znowu Węgrzy. Nabieramy wody do menażek i chyłkiem powracamy na łąkę Okola, do milczących ruin schroniska, do przewiewnych izb, do snu na kawałku niezdarłej podłogi.

W nocy burza, druzgocąca las i ciszę (więc jednak!). W nocy olbrzymia, zachodnia przepaść lasu prześwieca elektrycznymi błyskami. Jesteśmy pełni egzaltacji, podnieceni jak wódką. Po ciemku, w świetle latarki, wspinamy się na przyczepioną do schroniska wieżę widokową. Zasypane próchnem

drzewnym schody uginają się pod nogami, skrzypią, trzaskają, niejednen stopień pęka, niektórzy rozsypuje się w drzazgi; otośmy jak widma w starym zamczysku dla siania grozy. Szczęście nam sprzyja i bez szwanku wydostajemy się na wieżę. Dobytymy rewolwerów... Ostre strzały płoszą ciszę i noc i burzę, salwa przywraca ład i prawo człowieka: bierzemy przez nie tę spiętrzoną dzikość z powrotem w posiadanie. Te słowa brzmią naiwnie, ale tak wówczas odczuwaliśmy. Powrót na dół był karkołomnym przedsięwzięciem.

Nazajutrz dopiero o 10 godz. opuszczamy Okole i na przełęczy 1208 m rozdzielamy się. Ryszard przez Klauzę Apszyniecką i dolinę Czarnej Cisy wali najkrótszą drogą do Jasinii i do Polski – ja, zgodnie z programem, postanawiam przejść całe pasmo Świdowca i Bliźnicy. Żegnamy się, o godz. 10.45 rozpoczynam wędrówkę samotną.



Okole

fol. archiwalna

NA ŚWIDOWCU

Pasma Bliźnicy przewyższa każdy ze szczytów Czarnohory pięknnością swoich konturów.

Mieczysław Orłowicz: „Bliźnica i Świdowiec”

Cóż powiedzieć o tym dniu pasma Świdowca, który cały utkany był z traw, wiatru i zmiennego, porywistego słońca? Prosto na południe, granicą gmin wyciętą w lesie, wydostałem się na Połoninę Rypta, skąd grzbietem osiągnąłem pas wierzchów Świdowca w Tatarówce (1710 m). Słońce było jak letnie w ocieżałym, upalnym powietrzu. Na niebie stało południe i oczekiwanie burzy.

Szeroka, przestrzenna Połonina Turbatska podprowadziła na Trojaszkę, wierch leżący już w głównej grani Świdowca. Po raz pierwszy spojrzałem stąd na południe, w zapadłość Maramaroszu. Krajobraz, roślinność, nawet niebo były tam skrajnie różne od obrazu Gorganów na północy; świerkowe iglaste Karpaty ustępowały pogarbionym stepom, rozwleczonym jak niebo nad opadającym horyzontem, a ja stałem dokładnie na

granicy klimatu, krain geograficznych i gospodarczych, nawet typu życia mieszkańców. Było to wrażenie jedyne w swoim rodzaju, przenikające do głębi (to wrażenie jest głównym atutem turystycznym Świdowca).

Odpoczywam i próbuję uwięzić we wspomnieniu tę granicę zmienności. Ale trzeba iść dalej. W Szerokim Wirtupie mijam masyw Todiaski. Teraz główny atut krajobrazowy Świdowca, szczyt Worozesek, stromy, spadzisty, niemal smukły, oberwany ku wschodowi zadzierzystym urwiskiem. Ze szczególnym zadowoleniem wchodzę na jego czubę (1735 m). Gdzieś w dole ma leżeć piękne Jezioro Worozeskie. Nie widzę i nie szukam. Pochłania mnie wrażenie monotonnych, połoninnych wysokości, wyniosły, miękki od traw grzbiet, obcy najzupełniej temu, co dotychczas mogłem poznać w górach. Horyzont zasłania pokraczne cielsko Tatulskiej: szybko staję na jego najwyższym punkcie, zarazem najwyższym wierzchołku właściwego Świdowca (1774 m).

Oglądam uważnie odmienny widok. Dookoła dziwaczne, zrujnowane jak schronisko na Okolu cyrki polodowcowe. Oglądzone moreny boczne i czołowe krają strumienie i suche rynny. Nisko na dole skupiny szalasów. Niżej droga w dolinie. W górze owce, może ruski juhas. Lasy niskie, stłoczone. A ponad nimi nic, tylko trawa, przestrzenne, niezmierzone hale, łąki, połoniny, niezmierzone i jednostajne, a przecież przejmujące do głębi. A całość ujęta w ten sam łuk nieba, ogromny, od równin po Gorgany i od Alp Rodniańskich do Bieszczadów.

Zziębłem. Nad Pietroszem Czarnohorskim zawisła ulewna burza, smugi deszczu siekły Bratkowską, druga burza wisiała tuż za mną na Unguriasce i Kurtiasce, trzecia nadciągała od równin. Tylko nade mną, w środku, przepływało jeszcze suche niebo, w schłostanych nieregularnych skokach wichury. Owinięty ogromną, pradziadowską peleryną, która mi w owych młodych czasach i wiatrówkę i śpiwór zastępowała, poszedłem wysokim grzbietem na wierch Kraczunieski (1691 m), a potem, obchodząc stoliwo Stoha, wprost ku czerniejącemu łąbu Bliźnicy. Silne, dojmujące wrażenie wysokości nie ustępowało. Po lewej ręce miałem strome, spadziste kotły, groźne i nieprzystępne – po prawej wydłużone, nieskończenie długie języki ciemnych, gładkich grzbietów, spływające z niesamowitą powolnością ku nizinom, w mgłę przestrzeni spowitym równinom: Płajek Kosowski, Płajek Hłaskułow, Płajek Opreski, Płajek Stajkowy... Zielony grzbiet był ciągle granicą dwu światów; i wciąż unikał burz dookolnych.

Z Przełęczy Bliźnickiej (1552 m) wspiąłem się na Dragobrat (1782 m), a z niego na północny, główny wierzchołek Bliźnicy – 1883 m. Pora była

przedwieczorna, minęło przeszło pięć godzin graniowej wędrówki. Patrzyłem ku dolinie Cisy, blisko półtora tysiąca metrów w dół. Nad doliną gasły burze w promieniach zachodzącego słońca, tylko z Czarnohory nie chciała jeszcze opaść zwelniona, kudłata czapa. Przy mnie ciepłe słońce drgało na twardych, zwisających śniegach, podkreślających szczyt i zapędzonych licznie do jaru Dragobrackiego i Gropy.

Czas schodzić. Nie zależy mi zresztą na pośpiechu, zapadnę na biwak, gdzie los zdarzy, a nie pamiętam już kosodrzewiny, której ani krzaku nie spotkałem na połoninach Świdowca. Przez południowy, niższy wierzchołek Bliźnicy zmierzam prosto w dół. Na Trofańcu (1622 m) przyszedł powolny, jasny zmrok - jasny ponad doliną i lasem. Na płaskim trawniku, owinięty w wierne pelerynisko, zasypiam. U kresu zapasów i energii. Leniwo wschodzi noc, czepia się gór, przesuwa po gęstniejącym kolosie Bliźnicy. Nie chce mi się nawet zagotować wody ze strużki, która tu cieknie przez trawę. Wolno przeganiem godziny, ciepłe chmury poruszają się powoli jak trawa. W dole szumi brodaty las, zmarmurowiały i żywy. Wspominam niedźwiedzia, że na koniec powinien przyjść: tak bardzo wnika w ten samotny, wysoki nocleg wrażenie pustki i poczucie pierwotnej przestrzeni.

Rano budzę się pod bezchmurnym, bielejącym niebem. Chłód podrywa do marszu. Doliny Cisy nie ma, utonęła w morzu mgieł. Po świcie zaczynam schodzić. Na czczo i szybko. Wkrótce dopadam wybornej ścieżki, przez las zakosami spadającej bystro. Przecinam las wyciągniętym kłusem. Skoro już schodzę, skoro nieodwołalnie powracam, niechże się to odbędzie prędko, jak najprędzej, bodaj w zadyszaniu, w zmęczeniu; w ten sposób mniej boleśnie przyjmę pożegnanie cudownych wysoczyzn. Pas olch mija szybko, potem buki, buki i liście.

Nisko, w dole wchodzę w strefę mgły. Znika słońce i zjawia się szara, oblepiająca wilgoć. Dopiero za Świdowcem, na samym dnie doliny, wilgoć schnie i mgły rzadną.

Tu jest wysokość podgórska, w niespełna dwie godziny obniżyłem się tysiąc metrów. Odczuwam rozleniwiającą różnicę ciśnienia i ciepłoty. W głąb doliny Świdowca podchodzę parę kilometrów, by na odosobnionej łączce móc założyć ostatni nieskrępowany, pozornie śródgórski jeszcze obóz. Kąpię się, wysypiam do południa, objadam resztą żywności, cywilizuję, czyli golę. Potem zawracam, schodzę do rozległego ukraińsko-żydowsko-urzędniczego Jasinia, pół-wsi, pół-miasta (647 m) – mijam bez zatrzymania; potem podchodzę do czysto ukraińskiej wsi Lazesztina – mijam bez zatrzymania. Tu tor kolejowy, schwytyany w Jasini, zawraca

w prawo ku Woronience, by utknąć w zasypanym wówczas ślepym tunelu. Idę w lewo, w kierunku Przełęczy Jabłonickiej, czyli Tatarskiej (930 m), tak jak biegnie gościniec, a potem już prosto walę na przełęcz.

NA SKRAJU CZARNOHORY

Wędruję tedy już dziesiąty dzień i mniemam, że za parę godzin zakończę wycieczkę. Tuż przede mną przełęcz Tatarska, granica, potem dolina Prutu. Pełen różowych myśli zbliżam się do granicznego posterunku czechosłowackiego i... tu zaczyna się nowy rozdział, można by go nazwać: Biurokracja w potrzasku, czyli Werble i duchy.

A wynikł ów rozdział z niczyjej innej tylko mej własnej winy. Dotychczas nikomu nie musieliśmy okazywać naszych przepustek, nikt nas nie spotkał, nie zdybał. Czy godziło się zatem wyzywać los? Dla rączych nóg i sportowej żyłki nie byłoby problemem przejść gdziekolwiek granicę w sposób może mniej widzialny i poprawny, ale za to wygodny, nie przysparzający nikomu kłopotu. Ale ba! – jak się kto uprze być legalistą, maszeruje prosto na graniczne placówki.

Miłe złego początki... Strażnicy czechosłowaccy poczytali sobie „*videl a zezvolil*”, pomyśleli, pokręcili się po izbie, naradzili, przybili pieczątki, przepuścili. Z Bohem, do widzenia!

Szlaban graniczny. Okraczam, wszedłem w ojczyznę. Przestraszony wartownik wiezie do izby. Komendant posterunku marszczy brwi, zmienia głos:

- Pan przekroczył nielegalnie granicę.

Głupiej. Pokazuję przepustkę czechosłowacką, tłumaczę co i jak. Posępnieje jowiszowe oblicze, moje wywody nie znajdują dostępu.

- Pan popełnił przestępstwo, muszę pana zatrzymać. To przestaje być śmieszne. Zaczynam się handryczyć z władzą, próbuję przemówić do rozsądku. Nic nie pomaga: żadne perswazje „na rozum” nie przebiły twardych czaszek filanców z placówki „Jabłonica III.” Zapowiedziano mi jak u Fredry: „*do więzienia, do więzienia, bez dalszego tłumaczenia*”. Zrewidowano plecak, odebrano mi rewolwer. Zapadła noc, mundurowi się zlekli: do Tatarowa (dokąd mnie obiecywali zaprowadzić) było 9 km leśnej drogi, a ludność – diabli ją wiedzą...

Powiem krótko: zaprowadzono mnie pod strażą do wsi, na placówkę „Jabłonica I”. Nocleg w chłopskiej izbie, obok spał żandarm czy filanc. Usiłowałem nawiązać łagodną rozmowę ze starą gospodynią, ale wystraszona nie chciała odpowiadać.

Dzień. „Straż więzienna” ogłasza pobudkę, ponagla. I mnie spieszo. Pod zbrojną eskortą maszeruję do Tatarowa. Konwojował jakiś

sympatyczny dryblas-poznaniak, który po drodze usprawiedliwiał jak mógł zarządzenie pana komendanta. Nie czułem się przestraszony – chociaż miałem broń bez zezwolenia – gorzko jednak bolała strata czasu.

Tatarów. Już nie posterunek w chałupie, ale cała willa. Główny komendant nieobecny. Heca trwa dalej. Zagrożono mi województwem w Stanisławowie, sprawą sądową i trzytygodniowym aresztem. Ja ze swej strony straszylem dziennikami całej Polski. Nastrój rósł coraz gorętszy. Zacząłem wreszcie być równie zły, jak przestraszony.

Tę sytuację zastał nadkomendant placówki tatarskiej, gdy wkroczył do izby śledczej we własnej osobie. Wysłuchał obu stron, zajrzał do mego plecaka, obejrzał skonfiskowaną pukawkę. Minę zrobił srogą, słowa były odpowiedzialne. Nawet magiczne litery popularnego dziennika niewiele pomogły: przy całej nicości oskarżenia i jego praktycznym bezsensie, poczułem fizycznie, że tryby bezdusznej maszyny, już mnie chwytają za gardło.

Ale oto nagle zmiana, nagle przewrót i przełom! W toku podrażnionych rozmów i rekryminacji padło nazwisko mego ojca – że go znają w Krakowie, że obywatel szanowany, który daje gwarancję... Natychmiast rozjaśniło się oblicze komendanta:

- Ludwik Szczepański? A który? Czy ten co w Kurierku pisuje artykuły metapsychiczne?

- Ten sam – wyjaśniam opryskliwie.

- Ach, jak to dobrze, znam go przecie z artykułów. Trzeba było od razu tak zacząć gadać! Mam nawet artykuł dla pańskiego ojca, bo sam niedawno ujrzałem ducha.

Poczułem się w siodle. O więzieniu i tym podobnych brzydkich sprawach nagle przestała być mowa. O przemysłnictwie ani słoweczka. O bibule również. Zamiast krzyżowego ognia pytań usłyszałem jakiś długi i zawily opis spotkania z duchami, którego pan komendant był bohaterem.

Musiałem wysłuchać – byłem gotów słuchać nie takich bredni. Musiałem obiecać wstawiennictwo u ojca – byłem gotów obiecać druk tuzina spirytystycznych artykułów. Byłem gotów słuchać obiecywać do wieczora, gdyby pana komendanta nie wzywały, na szczęście, obowiązki. W każdym razie przed swym odejściem bez dalszych ceregieli puścił mnie wolno i nawet rewolwer zwrócił łaskawie:

- Tylko odnów (!) pan pozwolenie...

Uściskałem przyjaźnie dłoń szczęśliwego duchołowcy i... zwałem mu z oczu, bo a nuż się jeszcze rozmyśli i zechce groźby więzienne albo opowieści nie z tego świata zamienić w czyn! Ruszyłem z kopyta i minąłem jak widmo Tatarów, byle dalej od wszelkich władz pogranicznych.

Gościniec w stronę Mikuliczyna – 10 km. Prut prąd dolinę wzdłuż i w poprzek, zbocza poplątane dziwnie zasnuwały chmury.

Na łące pod stokami Żeńca zagotowuję herbatę. Łykam parujący wrzątek, parzę wargi; deszcz mnie popędza. Opary osnuwają dolinę. Rwę pod dach stacji kolejowej. Do świtu czekam na pociąg. Dniem mijam przełom Prutu w Jamnej, Kamień Dobosza, wiadukt na Prucie w Jaremczu... Pada deszcz i jest ciepło. Za Dorą wychylamy się w równiny. Góry powracają na mapę, z której zeszyły w życie dziesięciu podróżnych dni.

CZY TU KIEDYŚ POWRÓCĘ ???

Przypisy:

***) Tutaj, w 1994 r. wyprawa Łódzkiego Oddziału PTT przeprowadziła generalną odbudowę całkowicie zapomnianego cmentarza żołnierzy II Brygady Legionów Polskich poległych w 1914 r. w walkach o przełęcz „Rogodze” i Rafajłową.



Tablica pamiątkowa na odnowionym cmentarzu
fot. Janusz Pilc



A CO W KSIĘGARNIACH ?

♦ Tomasz Hreczuch – **Prostowanie zwojów**, Wyd. Stapis i Annapurna 2006.

♦ Eugeniusz Chrobak – **Oddychać górami**, Wyd. Stapis 2005.

♦ Andrzej Polec – **Zapomniani. My, Żydzi kresowi**, 160 str., 223 fot., BOSZ

♦ Joanna Daranowska-Łukaszewska – **Małopolska architektura drewniana**, 184 str., 167 il., BOSZ

♦ Stanisław Kłos – **Przewodnik. Podkarpacie**, 396 str., 230 fot. BOSZ.

♦ Marek Strzałkowski – **Polska Wschodnia**, 80 str. 88 fot. BOSZ.

♦ Marian Hess – **Kim ja jestem. Między snem, a jawą**, Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe – Wrocław 2005.

♦ Krzysztof Treter – **Wspinaczka skalna**, 296 str. Pascal. Bielsko-Biała 2005.

♦ Christopher Hale – **Krucjata alpinistów – naziści w Himalajach**, Wyd. Bellona 2005.

♦ Zofia Szanter – **Dorzecze Górnej Ropy. Z przeszłości Łemkowszczyzny**, Wyd. Towarzystwo Karpackie, Wwa 2005

♦ Jan Gajzer – **Słońce zachodzi nad Łemkowszczyzną**, Krosno 2005

♦ **Plaź** Nr 30, wiosna 2005, Wyd. Towarzystwo Karpackie

♦ Michał Kost – **Karpatska drewna cesta Słowakia** (Cerkwie we wschodniej Słowacji), liczne ilustracje, mapki, Świdnik 2005

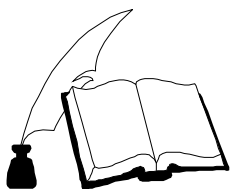
♦ Tadeusz Budziński – **Pogranicze kultur. Drewniane Budownictwo Sakralne na Podkarpaciu**, Duży Format, Rzeszów 2001

♦ Ola Lazar – **Piec nie gaśnie nigdy** (Łemkowskie potrawy), w: „Kuchnia”, Wwa 2005

♦ Jan Skłodowski – **Huculsczyzna w grafice polskiej do roku 1945**, Wyd. Poronin, 2005

♦ Hubert Ossadnik, Wojciech Wesołkin – **Osobliwości Bieszczadów Wschodnich**, Wyd. Libra, Rzeszów 2005

Wyszukali
Tadeusz Kielbasiński i Janusz Pilc



NA KARTACH HISTORII

Gdy bierzemy do ręki I tom „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego” i przerzucamy pożąłkłe kartki, ogarnia nas uczucie zadumy nad czasem, który upłynął od momentu jego ukazania się w roku 1876 do obecnego (12) tomu „Pamiętnika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego” z roku 2004. A upłynęło już 130 lat. Któż pamięta dziś nazwiska ludzi z Komitetu Redakcyjnego, którzy tworzyli ten pierwszy tom Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego? Powinniśmy szanować przeszłość i pamiętać o niej!

Siegnijmy więc do pierwszego Pamiętnika i przypomnijmy, kim byli ludzie, którzy stworzyli ten tom. Autorami byli:

dr Alojzy Alth – profesor geologii UJ,

Władysław Ludwik Anczyc – publicysta, pisarz i działacz kulturalny, jeden z pierwszych organizatorów Towarzystwa Tatrzańskiego (w 1875

roku założył w Krakowie drukarnię, z której wyszły wszystkie roczniki Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego),

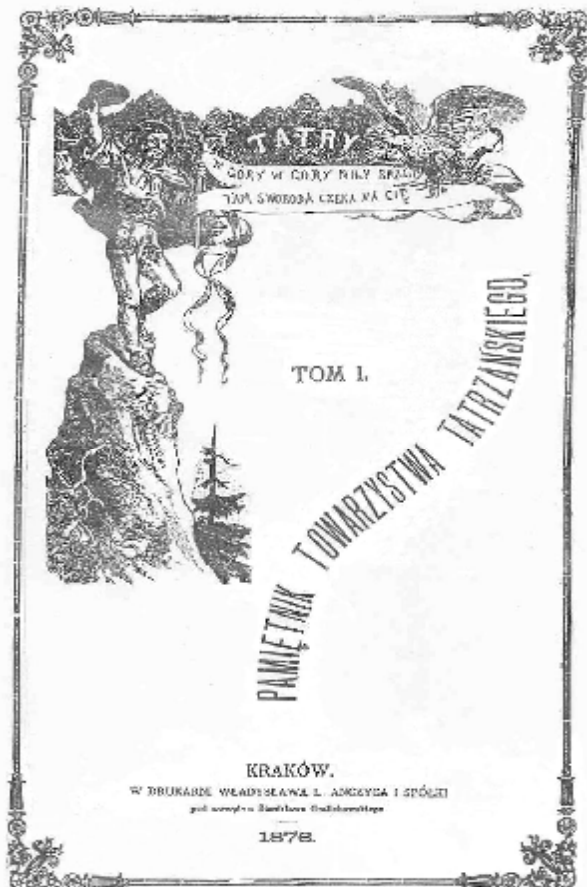
dr Bolesław Ludwik Lutostański – prawnik,
dr Maksymilian Nowicki – profesor zoologii UJ.

Pierwsza część Pamiętnika zawiera sprawozdania z działań Towarzystwa sporządzone przez zasłużonego sekretarza TT Leopolda Świerza oraz wystąpienie prezesa TT hr. Reya na pierwszym Walnym Zgromadzeniu Towarzystwa.

Drugą część stanowią artykuły dotyczące nie tylko Tatr ale całych Karpat, a ich autorzy to nazwiska znane wszystkim ludziom gór.

Opracował Stanisław Flakiewicz

*(na podstawie materiałów
zawartych w Wiercach nr 18 (1948r.)*



SPIS RZECZY.	
Część I.	
Prace Komitetu redakcyjnego	3
Stwierdzenie pierwszego walnego zgromadzenia Tow. tatrzańskiego, przez posessa L. Reya	7
Statut Tow. tatrzańskiego z siedzibą w Krakowie	9
Regulamin obrotu i czynności ogólnego zgromadzenia i wydawnictwa Tow. tatrzańskiego	13
Sprawozdanie z czynności Tow. tatrzańskiego za czas od dnia 6 sierpnia 1875 r. do 28 maja 1876 r.	21
Zezwolenie przychodu i rozchodu funduszów Tow. tatrzańskiego	33
Wskazywanie pism wysyłanych do Tow. tatrzańskiego	35
Skład Tow. tatrzańskiego	40
Część II.	
Wiosna 1876, przez H. J.	1
W Tatry, przez Wł. L. Anczyca	5
Wiosna Tatr, przez Prof. Dra Nowickiego	7
Przegląd do klimatologii Tatr, przez Dra Dr. Wierzbickiego	57
Wiosna pasterska w Tatrach, przez X. A. W. Entera	44
Wycieczka na szczyt Gerlach, przez X. J. Kozłowskiego	66
Wycieczka na szczyt Gerlach, przez H. Kozłowskiego	68
Wycieczka, przez X. J. Kozłowskiego	73
Wycieczka na szczyt Gerlach i gór przyległych	85
Formy i geografia geomorfologiczna i klimatologiczna gór na Polnoc	86
Pierwszy rocznik listy dyrektorów imiennych, przez Wł. L. Anczyca	87
Bibliografia Tatrzańska, przez H. Kozłowskiego	95

Reprodukcja drzeworytu Walerego Eljasza Radzikowskiego (1840-1905) zdobiła okładkę czterech roczników Pamiętnika TT



WIEŚCI NIE TYLKO Z GÓR

Ø Już wkrótce legalnie i bezpiecznie do źródeł Sanu – w BPN zapadła decyzja o wytyczeniu trasy umożliwiającej turystom dotarcie do miejsca leżącego na polsko – ukraińskim pasie granicznym, gdzie znajduje się obelisk z napisem: „Witik riki San”(napis rzecz jasna cyrylicą). Trasa powinna być gotowa z końcem maja, aby można ją było otworzyć z rozpoczęciem letniego sezonu turystycznego.

Ø Bergson Winter Challenge 2006 odbyły się w dniach 26.02 – 5.03.2006 w Karkonoszach, Rudawach Janowickich i Górach Izerskich. Gospodarzem było miasto Karpacz.

Ø W dniach 24 – 26.02.2006 w Lutowiskach odbyły się wyścigi psich zaprzęgów – „W krainie wilka”. Starty i mety poszczególnych etapów miały miejsce przed szkołą w Lutowiskach. Tegoroczna trasa wynosiła ok. 160 km.

Ø Na 100 – lecie Orlej Perci ma się ukazać w maju przewodnik autorstwa Dariusza Dyląga zatytułowany „Orla Perc – przewodnik wysokogórski” wydany w Oficynie Wydawniczej REWASZ.

Ø Niedźwiedzie zazwyczaj nie przesypiają całej zimy. Po bardzo dużych mrozach lubią się przebudzić i położyć po śniegu. Ciepłe dni, które nadeszły w lutym po srogich mrozach sprzyjały w przerywaniu zimowej drzemki. Tropy misiów leśnicy zauważyli między innymi w Stuposianach pod Otrytem oraz w okolicy Soliny. Na Podkarpaciu żyje około 120 niedźwiedzi, z tego większość w Bieszczadach. W styczniu i lutym na świat przychodzą młode, które aż do wiosny przebywają w gawrze, gdzie są karmione mlekiem matek.



Trop młodego niedźwiedzia

Ø Nowa oferta turystyczna dla miłośników narciarstwa biegowego. Na północ od centrum Kowar udostępniono doskonale przygotowane i oznakowane trasy o różnym stopniu trudności. Trasy o łącznej długości ok. 20 km bieżą po stokach malowniczej Góry Wołowej i w okolicy Przełęczy Okraj, w wielu miejscach przecinają się, a przewyższenie sięga 250 metrów.

Ø Pod koniec lutego zastrzelony został trzeci z czterech wilków przeznaczonych do odstrzału. Wszystkie zostały upolowane w okolicach Czarnej i Rabego. Ostatni z zabitych drapieżników to wadera. Okazało się, że podchodziła do ludzkich siedzib ponieważ była zbyt chora by polować na dzikie zwierzęta. Szacuje się, że liczba wilków na Podkarpaciu od kilku lat utrzymuje się w granicach 400 sztuk.

Ø Steve House i Vince Anderson otrzymali prestiżową nagrodę Piolet d'Or za najwbitniejsze osiągnięcie wspinaczkowe w 2005 roku. Złoty Czekan w środowisku alpinistycznym traktowany jest tak jak filmowy Oscar. Wspinacze weszli w stylu alpejskim 4 – kilometrową ścianą Rupel na Nanga Parbat (8125 m n.p.m) w Himalajach.

Ø Wygraliśmy batalię o oscypka. Decyzję o odstąpieniu Słowaków od roszczeń do rejestracji oscypka podał 28 lutego rząd w Bratysławie. Słowacy pójdą własną drogą i ich *ostiepok* będzie osobnym produktem. To rezultat prowadzonych od grudnia ub. roku rozmów dyplomatycznych. Teraz, jeżeli do pół roku nikt nie zgłosi roszczeń oscypek stanie się produktem unijnym. Oscypek będzie produkowany tylko w Polsce i według unijnych norm – to oznacza także, że muszą zniknąć z handlu jego podróbki

Ø W dniach 13-14 maja 2006 r. w bielskim Kinopleksie odbędzie się Festiwal Filmów Górskich Bielsko-Biała 2006.

Ø W połowie marca wyrusza wyprawa, której celem jest zdobycie trzech ośmiotysięczników. Piotr Pustelnik podejmie wyzwanie w towarzystwie Piotra Morawskiego, Amerykanina Dona Bowie oraz Słowaka Petera Hamora. Obok Cho Oyu i Broad Peak alpinieści będą szturmować Annapurnę.

W internecie wyszukał Janusz Pilc



GDZIE BĘDZIEMY ?

III Rajd Wyrypiarzy – Kandydatów i Emerytów

Tegoroczny rajd Oddziału Karpackiego PTT w Łodzi jest kontynuacją (terenowo) imprezy ubiegłorocznej. Przebiegać będzie przez środkową część Łemkowszczyzny – od Rymanowa do Magury Małastowskiej (koło Gorlic). Przez całą trasę tegorocznego rajdu wędrujemy pieszo. Wyjątkowo – dla osób nie mogących (ze względu na zbyt duży wysiłek) przejść tras pieszo przewidujemy trasy dojazdowe, biegnące równoległe do tras pieszych. Tradycyjnie rajd kończy się wraz z rozpoczynającą się w Zduni Watrą.

Termin rajdu: 14 – 20 lipca 2006 r.
Watra: 21 – 23 lipca 2006 r.

Zainteresowani proszeni są o kontakt do połowy maja z Iwoną Głowacką tel 0-692 334 325 lub z Januszem Więckowskim 0-601 737 347. Szczegóły na naszej stronie internetowej.



GDZIE BYLIŚMY ?

1. Przełom roku (27.12.2005 – 01.01.2006) Gosia Kunach spędziła mieszkając w miejscowości Suche k/Zakopanego. Tam też zastał ją Sylwester. W tym też czasie Irena Wagner czynnie odpoczywała w zakopanej w śniegu Wiśle.
2. 15.01.2006 narciarskiego przejścia na trasie Pcim, Kudłacz, Łysina. dokonali Piotr Woźniak i Asia Górską-Śreniowska.
3. Ewa Kuziemska i Janusz Pilc zażywali sportów zimowych w dniach 20-24.01.2006 w Inowłodzu. Ich obecność została zauważona i utrwalona przez fotoreportera „Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego”.
4. W dniach 23-27.01.2006 Basia Bartyś z Asią pojechały na sanki do Szklarskiej Poręby.
5. Zimowe ferie (14-28.01.2006) Małgorzata Kunach spędzała w Kołobrzegu.
6. W niedzielę 29.01.2006 Piotr Woźniak poprowadził wycieczkę narciarską (z oddziałem Łódzkim PTT) przez Wzniesienia Łódzkie.

Pożegnanie Bugu

Zafascynowani przyrodą nadbużańską chcemy po raz kolejny wyruszyć z rowerami nad Bug. Tym razem będzie to pożegnanie z rzeką. Bug niestety przekroczy granicę i ucieknie na Ukrainę. My nie podążymy za nim. Pojedziemy na Roztocze.

Zaczynamy w Dubience, gdzie zostawiliśmy Bug w zeszłym roku. Dojazd własny, zabieramy rowery.

Termin: 3-17 czerwca 2006r.

Liczba miejsc ograniczona.

Zainteresowanych prosimy o kontakt do końca kwietnia z Ewą Kuziemską tel. 0-698 992 139.



Niecodzienny widok parującej Pilicy

fot. Janusz Pilc



Narciarze „łódzcy” i „karpaccy” na Wzniesieniach Łódzkich

fot. Piotr Woźniak

7. Dni 1-4.02.2006 Piotr Woźniak spędził na Słowacji w Niżnych Tatrach. Zrealizował program: wejście na Chopok (2024 m n.p.m.) i zwiedzanie Liptowskiego Mikulasza.
8. Trochę później (26.02-04.03.2006) tydzień na Chopoku, ale na nartach spędził Marek Zawadzki. Wrócił zmęczony i zadowolony.
9. W dniach 10-17.02.2006 Iwona Głowacka, Joanna Górską-Śreniowska, Krzysztof Matuszak, Piotr Woźniak, Janusz Pilc podglądali żubry w Serednim (relacja na stronach 3 i 4).

10. W dniach 18-19.02.2006 Piotr Woźniak i Joanna Górską-Śreniowska wędrowali na trasie Szczawnica - Leśnica (Słowacja) - Czerwony Klasztor (wzdłuż przełomu Dunajca) - Szczawnica (schronisko Orlica). Było także zwiedzanie ruin Czorsztyna, kościółków w Dębnie, Harklowej i Łopusznej.

Zapraszają nas

Dni Gór 2006

Oddział Łódzki PTT, Koło Przewodników Beskidzkich w Łodzi i Łódzki Dom Kultury są organizatorami tegorocznych „Dni Gór” w Łodzi.

A oto program:

5 kwietnia (środa)

godz. 18.00

Galeria Stara – wernisaż wystawy: „PIENINY – najmniejsze góry nad najdziksza rzeką”.

godz. 18.30

Widowisko folklorystyczne Zespołu Regionalnego im. Jana Malinowskiego ze Szczawnicy. W programie: muzyka, taniec, gawęda, degustacja potraw kuchni regionalnej.

6 kwietnia (czwartek)

godz. 12.00

„Moja przygoda z alpinizmem” – spotkanie ze zdobywcą pięciu ośmiotysięczników Alkiem Lwowem.

godz. 18.00

Prelekcja przewodnika pienińskiego Teresy Ciesielki z Pienińskiego Parku Narodowego oraz pokaz filmu dydaktycznego,

- Konkurs dla publiczności: „Czy znasz Pieniny?”

- Gawęda prezesa PTT Antoniego Leona Dawidowicza „Z historii ruchu oazowego w Pieninach”

- „Pieniny zimą” – prezentacja filmu Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

- Legendy pienińskie – opowiada Zofia Jagiełło

7 kwietnia (piątek)

godz. 18.00

- „Limanowa – słowacka Fatima” – opowieść Marcina Kowalczyka.

- Śmierć w kulturze Łemków – prelekcja Sławoja Tanasia

Dzień zakończy wspólne śpiewanie piosenek turystycznych przy gitarze.

Dniom Gór towarzyszyć będą kiermasze książek, wydawnictw turystycznych, wyrobów ludowych

Wszystkie spotkania odbywają się w Łódzkim Domu Kultury, ul. Traugutta 18.

Stowarzyszenie „Wschodnia Perspektywa”

jest głównym organizatorem Festiwalu Kultury Huculskiej *Za głosem Trembity*, który jest planowany w terminie **7–10 kwietnia br.** Festiwal ma składać się z muzykologicznego panelu naukowego, złożonego z cyklu wykładów oraz z szeregu różnorodnych atrakcji kulturalnych takich jak, między innymi: wystawy, warsztaty, prezentacje, pokazy filmów, koncerty czy też przemarsz koni huculskich ulicami Krakowa.

Szczegółowy program Festiwalu na stronie

www.wschodniaperspektywa.pl

Stowarzyszenie „Spotkania z Filmem Górskim Zakopane”

zaprasza na uruchomioną właśnie stronę internetową www.spotkania.zakopane.pl. Można tu znaleźć informacje (łącznie z bogatą galerią), dotyczące ubiegłorocznego przeglądu oraz kolejnych, II Spotkań, które odbędą się w dniach **20-22 października 2006 r.** - oczywiście w Zakopanem.

Zachętą zapewne będą "mocne" punkty planowanego programu. Będą naturalnie filmy, także te najświeższe, "jeszcze gorące", premierowe, przywiezione przez podróżników i wspinaczy z tegorocznych wypraw. Planowane są również pokazy slajdów, zawody wspinaczkowe, wystawy fotografii oraz spotkania ze znakomitymi gośćmi. Tegoroczną Gwiazdą Spotkań będzie włoski wspinacz i narciarz Mauro "Bubu" Bole.

Odsłonięcie pamiątkowej tablicy

W dniu 18 marca 2006 roku w Krakowie o godzinie 9⁰⁰ rozpoczną się uroczystości związane z odsłonięciem tablicy upamiętniającej Walerego Eljasza Radzikowskiego, kończące obchody Roku Eljaszowskiego. Podczas tych uroczystości o godzinie 11⁰⁰ na domu przy ul. Karmelickiej 23, w którym mieszkał i zmarł Walery Eljasz nastąpi odsłonięcie pamiątkowej tablicy.

Po jej odsłonięciu organizatorzy: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wraz z Muzeum Etnograficznym im. Seweryna Udzieli, Muzeum Historycznym Miasta Krakowa, Nowohuckim Centrum Kultury, Salonem Kawiarni „Noworolski” zapraszają na sesję poświęconą pamięci Walerego Eljasza.

Wspierając starania ZG PTT w ufundowaniu tablicy ku czci Walerego Eljasza Radzikowskiego Zarząd Oddziału Karpackiego podjął uchwałę o przekazaniu kwoty 100 zł z kasy Oddziału na konto ZG PTT.



Walery Eljasz Radzikowski



A CO DALEJ ?

Zebrania: CKM, Łódź, ul. Lokatorska 13

6 kwietnia godz 18

Huculskie obyczaje – pokaz filmu pt. „Kamienny krzyż”

Dni Gór w ŁDK (program na str. 13)

20 kwietnia godz 18

„Moje spotkanie z księdzem Tischnerem” – opowieść Piotra Woźniaka połączona z filmem

19-21 maja

Spotkanie integracyjno-edukacyjne Oddziału Karpackiego PTT w leśniczówce Kobyle Błota

1 czerwca godz 18

„Pływające wyspy – jezioro Titicaca” – prelekcja Bogdana Koszeli

Wyjazdy:

19-20 maja 2006r. – Spotkanie Oddziału w leśniczówce Kobyle Błota

3-17 czerwca 2006r. – Wyprawa rowerowa nad Bug i na Roztocze (szczegóły na str.12)

14-20 lipca 2006 r – III Rajd Wyrypiarzy – Kandydatów i Emerytów (szczegóły na str.12)

Nasz adres internetowy: www.karpacki.ptt.org.pl



**STADNINA KONI HUCULSKICH
SEREDNIE**

Karolina i Witold SMOLEŃSCY

- * NOCLEGI Z WYŻYWIENIEM
- * OBOZY JEŹDZIECKIE
- * JAZDY I RAJDY KONNE
- * SPRZEDAŻ KONI

SEREDNIE MAŁE 1
38-709 POLANA
0-690 317 085